

**Henryk Markiewicz**

## Antyteoretyczna teoria

Ze zrozumiałym zainteresowaniem wziąłem do ręki niedawno wydaną książkę Mariana Bieleckiego *Historia – Dialog – Literatura. Interakcyjna teoria procesu historycznoliterackiego* (Złota Seria Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2010)<sup>1</sup>. Zainteresowanie to nie opuściło mnie aż do lektury ostatniej jej strony. W połowie jednak tylko mogę się z nią zgodzić, druga połowa (w porządku książki – początkowa) budzi wiele zasadniczych zastrzeżeń i wątpliwości.

Książka ta wyrosła z dezaprobaty dla historii literatury (w sensie – syntezy historycznej), takiej, jaką się uprawiało dotąd w Polsce (jak się ją uprawia za granicą – o tym autor nawet nie wzmiankuje). Lista zarzutów jest długa:

Przytłacza [ona] ciężarem swej pomnikowości, onieśmiela ogromem zasług pisarzy dla Polski czy Sprawy (takiej czy innej), razi pryncypialnością, wyniosłością i elitarnością, irytuje wielkością, której trzeba uwierzyć na słowo, bo jest ponadczasowa i zupełnie oczywista, wprawia w zakłopotanie artyzmem, który ma bardzo mało wspólnego z estetyką dzisiejszego świata i z doświadczeniem zwykłego czytelnika, męczy w końcu obszernością kanonu, długością listy książek, które z wyliczonych właśnie powodów należy przeczytać – i nuży nie tylko mnie, męczy uczniów i studentów (s. 12).

Ta „wielka narracja, masywna, uniwersalna, poddana kryterium reprezentatywności”, zatraciła to, co indywidualne i unikatowe, w tym, co ogólne i typowe (s. 105). Jest albo „mimetycznym opisem perypetii Literatury, z zewnętrzną wobec niej rzeczywistością, [...] albo rekonstrukcją autonomicznych form Literatury, rozsądnie ewoluujących ku czemuś w sensie artystycznym wyższemu i lepszemu” (s. 12).

Cóż na to odpowiedzieć? Bielecki, jak widać, ma pretensje do syntezy o to, że jest syntezą, więc przede wszystkim konstruuje uogólnienia, a powinna

---

<sup>1</sup> Książka ukazała się w Złotej Serii Uniwersytetu Wrocławskiego na podstawie decyzji trzyosobowego jury, powołanego spośród wybitnych uczonych niezatrudnionych w tymże uniwersytecie, które z kolei opierało się na opinii kilku fachowych recenzentów. (Nazwiska tych osób nie zostały w książce podane). Informuję o tym, by uświadomić czytelnikom, że opinie zawarte w tym artykule są być może odosobnione.

– jak postulował Foucault (który konstruował skądinąd uogólnienia, takie jak epistemy czy dyskursy) – skupić się na tym, co indywidualne, idiosynkratyczne, przygodne, „wskazywać miejsca rozproszenia, odchylenia, zerwania, nieciągłości” (s. 67). Autor – jak się zdaje – nie kwestionuje tego, że generalizacje są możliwe, ale ich nie ceni. Jakby uważał – trawestując tu słowa Miłosza – że wrogiem Literatury jest uogólnienie. Jakby nie wiedział, że uchwycić to, co indywidualne, można tylko przez gęstą siatkę terminów ogólnych. Jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że aby rozpoznać jakieś zjawisko jako odchylenie czy zerwanie, trzeba przedtem ustalić to, co w dziejowym procesie jest regularnością czy ciągłością. Ma też pretensje Bielecki do dotychczasowych syntez, że niepotrzebnie zajmują się twórczością drugorzędną, a przecież bez jej uwzględnienia syntetyczny obraz przeszłości literackiej byłby niepełny. Wbrew temu, co twierdzi, omawiane przez niego syntezy nie każą wielkości dawnej literatury wierzyć na słowo, lecz próbują ją pokazać i uzasadnić, opierając się w pierwszym rzędzie na kryteriach historycznych, ale także uwzględniając jej dzisiejszą wymowę. Nie jest też tak, by ujmowały one proces historycznoliteracki tylko z perspektywy allogenetycznej lub tylko z perspektywy idio-genetycznej (s. 12), stara się połączyć i jedną, i drugą (teoretyczną dyrektywą był tu m.in. późny strukturalizm czechosłowacki, którego autor nie bierze w ogóle pod uwagę). Nie znajduję też w tych syntezach nawet sugestii, że przemiany literatury to jej linearne doskonalenie, co gdzie indziej nazywa autor teleologią (np. s. 39). Byłaby ona zresztą sprzeczna z dostrzeganą przez Bieleckiego obecnością schematu biotycznego w tych syntezach<sup>2</sup>. Zadaniem syntezy historycznoliterackiej nigdy nie było wskazanie kanonu książek, które należy przeczytać – obejmuje ona także te książki, których czytać dziś już nie trzeba, ale których w narracji o procesie, czyli działaniu się, stawianiu literatury, nie można pominąć. A więc nie tylko książki cenione zarówno w dobie swego powstania, jak i dzisiaj (np. *Wesele*), lecz także cenione tylko w dobie powstania (np. poematy prozą Przybyszewskiego), cenione dopiero dzisiaj (utwory Marii Komornickiej), a także nie cenione nigdy przez znawców, ale szeroko czytane (np. *Trędowata*).

Trudno się też pogodzić z zarzutem (niepopartym zresztą żadnymi przykładami), że w owych syntezach ginie to, co w literaturze najbardziej wartościowe, to, co indywidualne i unikatowe. Można by tu replikować, że tymi aspektami literatury zajmują się inne niż synteza formy pisarstwa historycznoliterackiego – monografie twórczości danego pisarza czy poszczególnego utworu. Ale syntezy, o których mowa w książce Bieleckiego, starają się wywydatnić i te zjawiska literackie, które są wyjątkowe ze względu na swe

<sup>2</sup> Termin „proces historycznoliteracki” jest pleonastyczny: procesualność literatury jest przecież synonimiczna z jej historycznością, tj. zmiennością w czasie. Toteż w nauce rosyjskiej funkcjonuje termin krótszy: „proces literacki”. Wprowadzono go na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku, jak się zdaje po to, by uniknąć teleologicznych konotacji, obecnych w określeniu „ewolucja literacka”. Warto tu dodać, że poza literaturoznawstwem dawnego ZSRR i bloku wschodniego termin „proces historycznoliteracki” nie jest stosowany.

cechy czy też poziom zrealizowanych wartości. Programowo czyni to np. Czesław Hernas, wprowadzając nawet do swojej syntezy baroku rozdział *Sa-motni poeci*.

Dodać tu trzeba, że książki z serii *Wielka historia literatury polskiej* (początkowo pod redakcją Kazimierza Wyki), na które głównie powołuje się Bielecki, nie były w zamierzeniu autorów podręcznikami uniwersyteckimi, a tym bardziej szkolnymi, lecz tym, co Niemcy nazywają słowem *Handbuch*, w odróżnieniu *Lehrbuch* – tj. możliwie dokładną (w rozsądnej mierze szczegółowości) summą wiedzy o przemianach literatury w danym okresie. (Opracowania bardziej zwięzłe, np. *Synteza uniwersytecka* pod redakcją Jerzego Ziomka i *Mała historia literatury polskiej* pod redakcją Aliny Brodzkiej i Elżbiety Sarnowskiej-Temierusz, którym zarzutu *elephantiasis* postawić nie można, Bielecki pomija).

Swój akt oskarżenia kończy Bielecki zarzutem, że taka historiografia literatury go nuży, a studentów i uczniów męczy. Rzeczywiście tak bywa. Ale bywać tak nie musi, czego dowodem choćby książki Czesława Hernasa czy Jerzego Kwiatkowskiego.

Żeby nie było nieporozumień: każda synteza historycznoliteracka jest w pewnej mierze, lecz nieuchronnie konstrukcją ułomną; z jakich naprawdę powodów – pisałem przed laty w artykule *Dylematy historyka literatury*; nie będę tu tych uwag powtarzał. Nie twierdzą też, że omawiane syntezy to optymalna realizacja możliwości tego gatunku piśmiennictwa.

Co proponuje w zamian Bielecki? Zreferował starannie polskie powojenne dyskusje na temat historii literatury, pomijając – tylko nie wiadomo dlaczego – programowe referaty Teresy Kostkiewiczowej i Teresy Walas na Zjeździe Polonistów w roku 2005. Za najbardziej atrakcyjne uznał poglądy Ryszarda Nycza z jego książki *Język modernizmu*, w dalszym jednak ciągu swego traktatu do nich nie nawiązuje. Inspiracji szuka gdzie indziej – przede wszystkim u myślicieli poststrukturalizmu. Są to m.in. antymetodyczność i interdyscyplinarność, „strategia analizy genealogicznej, wsparta o wrażliwość etyczną”, odrzucenie mimetycznej koncepcji historii, co więcej – identyfikacja konstrukcji z fikcyjnością (autor używa wymiennie określeń „fikcyjność” i „fukcjonalność”), „radikalny kontekstualizm”, moc perswazyjna jako sprawdzian wartości. (Nie wszystko jest tu dla mnie w pełni zrozumiałe, ale nie chcę wchodzić zanadto w szczegóły). Z tych założeń wynika prawo do tworzenia różnych wizji historii literatury, „alternatywnych, oryginalnych, ryzykownych, a wartych tyle, ile znajdą czytelników, nieprzymuszonych przez promotorów, wykładowców czy nauczycieli” (s. 107).

Sceptyk powiedziała by w tym miejscu, że wśród studentów i uczniów powodzeniem cieszyłyby się opracowania krótkie, łatwe, napisane z talentem narracyjnym, uatrakcyjnione sensacją, anegdotą, dowcipem. Historia literatury polskiej napisana przez jakiegoś nowego Cata-Mackiewicza czy Stanisława Wasylewskiego zwyciężałyby zapewne w konkurencji z historią literatury Włodzimierza Boleckiego czy Michała Markowskiego. Nie wiem też, czy

Bielecki byłby zadowolony przy egzaminie z zasobu i jakości wiedzy studentów stąd zaczerpniętej.

Z aprobatą różnych wizji historii kłóci się przytoczone już twierdzenie, że historia literatury nie jest ani rozwojem literatury poddanej różnym ciśnieniom zewnętrznym, ani ewolucją autonomicznych form literackich; jest natomiast historią dialogów (sporów) między pisarzami (s. 171). Składają się na nią opisy przypadków jednostkowych, nieukładających się w jakiś ogólniejszy schemat. Tak oto kategorycznemu „nie jest” w stosunku do koncepcji np. Taine’a czy Tynianowa przeciwstawia Bielecki równie kategoryczne „jest” w stosunku do koncepcji własnej. Okazuje się więc, że są alternatywne historie literatury, prawomocne i nieprawomocne. Co o tym decyduje? Dla siebie samego Bielecki rezerwuje jako instancję decydującą własne przekonanie, dla innych – skuteczność perswazyjną w stosunku do dużej liczby odbiorców. Perswazja jest dziś modnym kryterium oceny, autorzy, którzy się nim posługują, nie precyzują jednak, czy chodzi im o perswazję logiczną, czy retoryczną, perswazję, która d o w o d z i, czy też perswazję, która u w o d z i (według rozróżnienia Paula de Mana).

Koncepcji Bieleckiego patronują nazwiska trzech B.: Barthes’a, Bachtina i Blooma. Dlaczego Barthes’a – nie jest to dla mnie jasne. Co do Bachtina – nie uważał on dialogu za synonim sporu, traktował dialogowość znacznie szerzej – znajdował ją w każdej wypowiedzi, w interakcji różnych składników dzieła literackiego, w języku, wreszcie w całym życiu człowieka. I on zresztą – w przeciwieństwie do Bieleckiego – nie unikał szerokich, śmiałych uogólnień. Najbliższa Bieleckiemu jest teoria literatury jako agonu między pisarzami, rozwijana przez Harolda Blooma. Nazywa ją imponującą i sugestywną, ale zarazem stwierdza, że trudno sobie wyobrazić jej praktyczne zastosowanie (s. 165). Również wysoko ceniona przez Bieleckiego teoria intertekstualności Nycza mało mu się przydaje. Nie jest łatwo zrozumieć jej rozróżnienia, jeszcze trudniej zastosować je w praktyce (s. 175).

To praktyczne zastosowanie dialogicznej czy interakcyjnej koncepcji historii literatury przynosi dopiero ostatnia część książki (s. 179–294). Składają się na nią analizy relacji między Herlingiem-Grudzińskim, Różewiczem, Konwickim, Mrożkiem, Musiałem i Witkowskim a Gombrowiczem. W przypadku np. Różewicza relacja ta rozwija się „na trzech przynajmniej płaszczyznach: metaliterackich deklaracji, międzytekstowych związków i na poziomie dość ogólnych zbieżności (bądź odrębności) dążeń ideowo-literackich, niekoniecznie poświadczonych intertekstualnymi odniesieniami” (s. 204). W szkicu o Herlingu rozpatruje Bielecki również jego kontakty osobiste z Gombrowiczem.

W autocharakterystyce swej metody nazywa ją Bielecki podejściem intertekstualnym, które różni się tym od „wpływologii” i badań źródeł, że „badacz nie poprzestaje na wskazaniu międzytekstowych nawiązań, ale je interpretuje, ukazuje ich semantyczne funkcje w tekście (i kontekście)” (s. 167). Gdyby autor trochę się zainteresował ryczałtowo i wzgardliwie potraktowaną „wpły-

wologią”, np. interpretacjami *Balladyny*, dokonanymi przez Kleinera czy Weintrauba – przekonałby się, że w swojej dwudziestowiecznej fazie i postulowano, i z powodzeniem realizowano te zadania, które wskazuje tu Bielecki, z tą tylko różnicą, że nie traktowano ich rezultatów jako fikcyjnych i stronniczych (s. 167). Stronniczość postępowania Bieleckiego na tym polega, że jego interpretacje mają być czymś w rodzaju wyznania i autokreacji, skierowane są na to, co w jego indywidualnej perspektywie egzystencjalnej jest ważne, przede wszystkim na problem tożsamości. Ponieważ sam autor przewiduje surowe wyceny atrakcyjności tych konfesji (s. 172), nie będę tego tematu tu rozwijał.

Nie jestem znawcą twórczości rozpatrywanych przez Bieleckiego pisarzy, opinia moja nie jest tu więc miarodajna; z tym zastrzeżeniem powiem, że interpretacje są rzeczywiście – jak chciał autor – bliskie tekstu, docieklive, perswazyjne, w tym przede wszystkim sensie, że są wyposażone w przekonującą argumentację. Gdyby nie część teoretyczna książki, trudno by się domyślić, że traktuje te interpretacje jako subiektywne tylko konstrukty. Niemniej jednak nie jest to historia literatury, jak zakłada autor. I historią literatury interpretacje by się nie stały nawet, gdyby je wielokrotnie pomnożyć. Według powszechnie przyjętego konsensusu ten dział badań literackich

zajmuje się ogólną charakterystyką procesu historycznoliterackiego, jego podziałem oraz związkami z procesami społecznymi. Przedmiotem [historii literatury – H.M.] jest zarówno rozwój twórczości, jej reguł i towarzyszących programów, jak i kształtowanie się kultury literackiej, życia literackiego i jego instytucji, wreszcie odbiór dzieł i ich funkcjonowanie w danym okresie<sup>3</sup>.

Jak widać, tylko ostatni z tematów historii literatury, i to jedynie częściowo, stanowi obszar historii literatury, tak jak ją Bielecki pojmuje. Zarówno powszechnie przyjęta semantyka terminu „historia literatury”, jak i semantyka terminu „proces historycznoliteracki” zostały przez Bieleckiego zmienione ze skrajnym radykalizmem.

Tytuł książki zapowiada nadto, że znajdzie się w niej teoria procesu historycznoliterackiego. Autor informuje, że ma na myśli teorię (utożsamioną tu mimochodem z metodologią, ale ta beztraska terminologiczna jest dziś powszechna), w specjalnym sensie, który nadał jej Paul de Man w artykule *Opór przeciw teorii*. Pojęcie to miałyby oznaczać „opieranie literackiej egzegezy oraz krytycznego wartościowania na systemie pewnych ogólnych pojęć” (s. 11). Tu Bielecki się myli. Cytowane sformułowanie, niezbyt szczęśliwe (bo sposób egzegezy i wartościowania nie może być nazwany teorią), nie jest własną propozycją de Mana, lecz zreferowaniem poglądów na historię literatury panujących w USA do lat sześćdziesiątych XX wieku<sup>4</sup>. Ale mniejsza

<sup>3</sup> J. Sławiński, *Słownik terminów literackich*, wyd. 3, Wrocław [b.d.], s. 199.

<sup>4</sup> Wobec wieloznaczności terminu „mimesis” nie jest dla mnie jasne, co autor rozumie przez mimetyczny opis, zarzut ten więc pomijam. Pomijam też etykiety „pryncypialność”, „wyniosłość” itp., bo są to frazesy bez pokrycia. Bez komentarza pozostawiam też dziwaczne uwagi o „artyzmie” historii literatury.

o atrybucję tej definicji, istotne jest to, że zakłada ona systemowość i wprowadzenie pojęć ogólnych. Tymczasem Bielecki to skrajny idiografista, który oświadcza:

Nie myślę też o budowaniu jakiegoś ogólnego modelu, zdolnego objąć, nazwać i wyjaśnić (?) rodzaje (?) międzytekstowego dialogu, w który dałoby się też wpisać konkretne relacje między pisarzami czy tekstami. Twierdzą nawet, że nie ma tu żadnych interesujących prawidłowości. Każda z tych relacji jest przygodna i różna od innych – i właśnie dlatego mogą się wydawać zajmujące (s. 168).

Bielecki dotrzymuje pod tym względem słowa – żadnego systemu i żadnych pojęć ogólnych w książce jego nie ma. Można do niej odnieść słowa, które on sam (niesłusznie) kieruje pod adresem pracy Stanisława Balbusa *Między stylami*: „lepiej tę książkę czytać po prostu jako zbiór interesujących interpretacji, a nie konspekt metodologiczny” (s. 168) – z tą poprawką, że u Bieleckiego propozycje metodologiczne sprowadzają się do postulatu: badać tylko to, co jednostkowe, żadnych prawidłowości nie ma, a jeśli istnieją, to są nieinteresujące.

Tak więc Bielecki ma pretensje do syntezy, że jest syntezą, traktuje jako podręczniki opracowania, które podręcznikami nie są, proponuje jako historię literatury to, co nią żadną miarą być nie może. Pod mianem teorii głosi jej zbędność. Można mieć takie poglądy, ale nie należy nazywać ich teorią procesu historycznoliterackiego. Niech mi autor wybaczy złośliwość, ale przypomina się tu Humpty-Dumpty i jego sławne *dictum*: „Gdy ja używam jakiegoś słowa, oznacza ono dokładnie to, co każę mu oznaczać”<sup>5</sup>.

<sup>5</sup> Sam de Man twierdzi, że teoria literatury tworzona jest wówczas, gdy przedmiotem dyskursu nie są już znaczenia i wartości, lecz sposoby (*modalities*) tworzenia i odbioru znaczeń oraz wartości, poprzedzające ich ustalenie (*Opór wobec teorii*). Jeśli dobrze rozumiem, de Man powiada tu, że teorią nie są konkretne znaczenia i wartości utworów literackich, lecz ogólne sposoby konstruowania pojęć i kryteriów w tym postępowaniu stosowane. Jest to więc raczej metodologia badań literackich, a nie teoria literatury. Istotna tu jest okoliczność, że bez wątpienia owe modalności, o których mówi de Man, są uogólnieniami.

Swoją drogą zadziwia mnie cierpliwa zgoda Bieleckiego na sformułowania niedbałe (Greenblatt, s. 94: „poetyka kulturowa jest sumą napisanych dyskursów, przez które poznajemy i oddziałujemy na świat, a konkretnie dyskursów, przez które dokonujemy rozróżnienia między tym, co wymaginowane, a tym, co rzeczywiste”), prowokacyjnie nonszalanckie (Kristeva, s. 116: „Każdy tekst jest nową tkaniną złożoną ze starych cytatów”), czy wręcz niezrozumiałe (Foucault, s. 64: „Zdarzenie oznacza zmienną relację sił, przejętą władzę, przechwycony i zwrócony przeciwko swym użytkownikom słownik, dominację, która się osłabia, rozpręża i sama zatruwa, innego, który się zjawia zamaskowany”) – jeśli wypowiedzają je wielkie autorytety.